



GREAT BRITAIN
15.07
POST
ASA 50213



JEDEN DZIEŃ

David Nicholls

MOŻESZ PRZEŻYĆ CAŁE ŻYCIE,
NIE DOSTRZEGAJĄC, ŻE TO, CZEGO
SZUKASZ, JEST TUŻ PRZED TOBĄ.

Świat Książki

**JEDEN
DZIEŃ**

JEDEN DZIEŃ

David Nicholls

Z angielskiego przełożyła
Małgorzata Miłośz


Świat Książki

Tytuł oryginału
ONE DAY

Redaktor prowadzący
Monika Koch

Redakcja
Maria Wirchanowska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Maciej Korbasiński
Jadwiga Przeczek

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy
martwych – jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © David Nicholls 2009
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o. o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego.

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu.

Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom
lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie
w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o. o.
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

ISBN 978-83-247-2591-5
Nr 45088

*Dla Maxa i Romy, gdy będziecie starsi.
I dla Hannah, jak zawsze.*

*Po co są dni?
To w dniach mieści się nasze życie.
Jeden po drugim nastają
I budzą nas ze snu.
To w nich ma nam być dobrze:
Gdzie żyć, jeśli nie w dniach?*

*Ach, znaleźć na to odpowiedź,
A zaraz zjawia się ksiądz
I lekarz – obaj pędzą
W długich płaszczach przez pola.*

Philip Larkin, *Dni*
przeł. Stanisław Barańczak

Część pierwsza

1988–1992

Po dwudziestce

Ten dzień wprowadził do mojego życia wielkie zmiany. Ale tak dzieje się w życiu każdego człowieka. Przypomnijcie sobie taki jeden dzień, który zaważył na waszym życiu. Przerwij na chwilę ty, który to czytasz, i pomyśl o długim łańcuchu złotych czy żelaznych ogniw, cierni czy kwiatów, które by nigdy ciebie nie oplątały, gdyby nie było jakiegoś jednego ważnego i pamiętnego dnia w twoim życiu.

Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*
przeł. Karolina Beylin

Rozdział pierwszy

Przyszłość

PIĄTEK, 15 LIPCA 1988

Rankeillor Street, Edynburg

– Ważne, żeby mieć jakiś wpływ na losy świata – powiedziała. – No wiesz, coś zmienić.

– Co? Chcesz „zmienić świat”?

– No, nie od razu cały świat. Ale ten kawałek wokół siebie.

Przez chwilę leżeli w ciszy, przytuleni w zbyt wąskim łóżku, potem oboje wybuchnęli śmiechem.

– Nie wierzę, że powiedziałam to głośno – jęknęła. – To takie banalne.

– Tak, trochę oklepane.

– Chcę cię natchnąć. Zainspirować twoją zblazowaną duszę do tej wielkiej przygody, którą mamy przed sobą. – Spojrzała na niego. – Nie żebyś tego potrzebował. Twoja przyszłość jest już pewnie dokładnie zaplanowana. Masz już rozrysowany grafik?

– Niezupełnie.

– Więc co zamierzasz robić?

– Rodzice przyjadą zabrać moje rzeczy. Zostanę parę dni u nich w Londynie, spotkam się ze znajomymi. Potem Francja...

– Brzmi niezłe.

– Później może Chiny, żeby zobaczyć, o co ten cały szum. Może Indie. Trochę pokręcę się po świecie.

– Podróże – westchnęła. – Tak myślałam.

– Co w tym złego?

– Bo ja wiem? Unikanie rzeczywistości.
– Rzeczywistość jest przereklamowana. – Miał nadzieję, że zabrzmiało to tajemniczo i charyzmatycznie.

Pociągnęła nosem.

– Podróże są w porządku, jeśli cię na to stać. Ale dlaczego po prostu nie powiesz, że jedziesz na dwuletnie wakacje? Na to samo by wyszło.

– Bo podróżowanie poszerza horyzonty – odrzekł i pocałował ją, unosząc się na łokciu.

– Wydaje mi się, że twoje horyzonty są już i tak za szerokie – powiedziała, na chwilę odwracając głowę. Ułożyli się na poduszce. – Zresztą, nie chodziło mi o to, co zamierzasz robić za miesiąc. Miałam na myśli przyszłość, kiedy będziesz miał, no nie wiem... czterdziestkę czy coś w tym stylu. Właśnie, kim chcesz być, mając czterdzieści lat?

– Czterdzieści?... Nie wiem. Mogę powiedzieć: „Chcę być bogaty”?

– Banalne.

– No dobra, to sławny. – Wtulił twarz w jej szyję. – Trochę za poważne pytanie jak na mój gust.

– Poważne, ale ekscytujące.

– Ekscytujące! – zawołał, naśladowując jej głos, miękki akcent z Yorkshire, w taki sposób, żeby słowa zabrzmiały śmiesznie.

Często ją to spotykało – chłopaki z wyższych sfer wyśmiewający jej sposób mówienia. Tak jakby było coś osobliwego i niezwykłego w moim akcencie, pomyślała, czując jednocześnie przenikliwy dreszcz niechęci.

Odsunęła się, aż jej plecy dotknęły zimnej ściany.

– Tak, ekscytujące. Przecież powinniśmy być podekscytowani. Mamy tak wiele możliwości. Jak powiedział rektor: „Drzwi do przyszłości szeroko otwarte...”.

– „Wasze nazwiska wypełnią gazety jutra”.

– Nie sądzę.

– To co, jednak nie jesteś podekscytowana?

– Ja? Nie. Umieram ze strachu.

– Ja też. Chryste... – Odwrócił się gwałtownie i sięgnął po

leżące na podłodze przy łóżku papierosy, jakby chciał ukoić nerwy. – Czterdzieści lat. Czterdzieści. Ja pierdołę.

Rozbawiona jego nerwowością postanowiła drażnić temat.

– No więc co będziesz robić, mając czterdziestkę?

W zamyśleniu zapalił papierosa.

– Widzisz, Em...

– Em? Kto to jest Em?

– Ludzie nazywają cię Em. Słyszałem.

– Tak, przyjaciele.

– To mogę nazywać cię Em?

– W porządku, Dex.

– A więc wiele myślałem o tym całym starzeniu się i postanowiłem, że pozostanę dokładnie taki jak teraz.

Dexter Mayhew. Spojrzała na niego przez włosy. Leżał oparty o tani, zniszczony zagłówek ze skaju i nawet bez okularów widziała dokładnie, dlaczego chciałby pozostać taki, jaki jest. Blade światło poranka rozświetlało jego twarz przez czerwone zasłony. Z przymkniętymi oczyma i niedbale przyklejonym do dolnej wargi papierosem wyglądał, jakby pozował do zdjęcia. Przystojny, pomyślała Emma Morley. Głupie, przestarzałe słowo, ale nie potrafiła znaleźć lepszego. Może „piękny”. Mocno zarysowane kości twarzy. Kształtny, lekko błyszczący nos i cienie pod oczami, ciemne jak siniaki – efekt papierosów i nocy, które spędził, specjalnie przegrywając w rozbieranego pokera z dziewczynami z Bedales. Miał w sobie coś z kota: cienkie brwi, wydatne, ciemne usta, teraz suche, popękane i brunatne od bułgarskiego czerwonego wina. Przynajmniej włosy miał okropne. Krótkie z tyłu i z boków, z potwornym językiem na czubku, który straciwszy resztki żelu, wyglądał jak głupekowaty берет.

Z zamkniętymi oczami Dexter wypuścił dym przez nos. Zdawał sobie sprawę, że Emma go obserwuje, bo włożył rękę pod pachę, tak aby uwydatnić biceps i mięśnie klatki. Skąd te mięśnie? Na pewno nie uprawiał sportu, no chyba żeby uznać za sport pływanie nago i grę w bilard. Po prostu dobre geny, przekazywane z pokolenia na pokolenie jak akcje i antyki. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności w dniu wieńczącym jej

czteroletnią karierę studentki ten przystojny, a nawet piękny mężczyzna w lekko opuszczonych na biodra wzorzystych bokserkach leżał teraz w jej wąskim łóżku, w jej maleńkim pokoju. Przystojny! Za kogo ty się uważasz, Jane Eyre? Dorośnij. Nie podniecaj się.

Wyjęła papierosa z jego ust.

– A ja sobie ciebie wyobrażam jako czterdziestolatka – powiedziała z nutką złośliwości w głosie. – Widzę to bardzo dokładnie.

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

– Mów więc.

– Okej. – Poprawiła się na łóżku i upchnęła kołdrę pod pachy. – Jedziesz sportowym kabrioletem gdzieś w Chelsea lub Kensington albo w jakimś podobnym miejscu, a twój samochód jest absolutnie cichy. Wszystkie samochody będą bezgłośne w... który to będzie... dwa tysiące szósty?

Zmarszczył czoło, usiłując policzyć.

– Dwa tysiące czwarty.

– Samochód szybuje dziesięć centymetrów nad ziemią w stronę King's Road. Twój brzuch prawie dotyka kierownicy, niczym okrągła poduszka, masz skórzane rękawiczki z odsłoniętymi grzbietami dłoni, rzadkie włosy i drugi podbródek. Duży facet w małym samochodzie, opalony jak pieczony indyk.

– Hm. Może zmienimy temat?

– Obok ciebie siedzi kobieta w okularach przeciwsłonecznych. Twoja trzecia, nie, czwarta żona. Bardzo ładna. Modelka, nie, była modelka, dwadzieścia trzy lata. Poznaliście się, gdy siedziała na masce samochodu, który reklamowała na targach motoryzacyjnych w Nicei czy coś w tym stylu. Zjawisko wo piękna i głupia jak but.

– Mmm. Miłe. Dzieci?

– Żadnych dzieci. Tylko trzy rozwody. Jest lipcowy piątek i jedziecie do waszego domku na wsi. W maleńkim bagażniku macie rakiety tenisowe, młotki do krokietu, dobre wino, południowoafrykańskie winogrona, biedne małe przepiórki i szparagi. Wiatr rozwiewa resztki twoich włosów, jesteś z siebie bar-

dzo zadowolony. Żona numer trzy, nie, cztery, uśmiecha się do ciebie, pokazując ze dwie setki nieskazitelnie białych zębów. Ty też się uśmiechasz, z całej siły próbując nie myśleć o tym, że nie macie sobie absolutnie nic do powiedzenia.

Urwała nagle. Idiotka, pomyślała. Może byś tak spróbowała powiedzieć coś mniej głupiego.

– Zresztą do tego czasu i tak wszyscy zginiemy w wojnie nuklearnej – dodała radośnie.

– To ja już chyba powinienem się zbierać. Skoro jestem taki banalny i zepsuty.

– Nie, nie idź – zaprotestowała, trochę zbyt szybko. – Jest czwarta rano.

Podciągnął się na łóżku, aż jego twarz znalazła się na wysokości jej twarzy.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego tak źle o mnie myślisz. Przecież prawie mnie nie znasz.

– Znam ten typ.

– Typ?

– Widziałam, jak kręcicie się wokół wydziału filologii, porykując jeden do drugiego. Te wasze imprezy, na które nie można wejść bez wieczorowego garnituru.

– Co? Ja nawet nie mam garnituru. A już na pewno do nikogo nie porykuję.

– Żeglowanie po Morzu Śródziemnym przez całe wakacje, itepe, itede...

– Hm. Skoro jestem taki okropny – powiedział, kładąc rękę na jej biodrze.

– Jesteś.

– To dlaczego ze mną śpisz? – Przesunął dłoń po jej miękkim udzie.

– Właściwie to nie spaliśmy ze sobą.

– Cóż. To zależy. – Pochylił się i pocałował ją. – Zależy, co masz na myśli.

Powędrował ręką ku jej talii i wsunął nogę między jej nogi.

– Chwileczkę – wymamrotała ustami przyciśniętymi do jego ust.

– Co? – Poczul, jak oplatała nogę wokół jego nogi, przyciągając go do siebie.

– Musisz umyć zęby.

– Mnie nie przeszkadza, że ty nie myłaś.

– Okropność – zaśmiała się. – Smakujesz jak wino z papierosami.

– No to w porządku. Ty też.

Odwróciła głowę, przerywając pocałunek.

– Naprawdę?

– Nic nie szkodzi. Lubię wino i papierosy.

– Zaraz wracam. – Odrzuciła kołdrę i wspięła się na niego.

– Gdzie idziesz? – Położył rękę na jej nagich plecach.

– Do wychodka – odparła i wzięła okulary ze sterty książek koło łóżka. Standardowe, duże czarne oprawki, jakie dostaje się na receptę.

– Wychodek? Co to za słowo?

Wstała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, pilnując się, żeby być tyłem do niego.

– Zostań – powiedziała, wychodząc z pokoju i poprawiając majtki. – I żadnego dogadzania sobie, kiedy mnie nie będzie.

Westchnął, poprawił się na łóżku i rozejrzał po obskurnym wynajętym pokoju. Był absolutnie pewny, że gdzieś pośród pocztówek z dziełami sztuki i fotokopiami plakatów do gniewnych dramatów jest fotografia Nelsona Mandeli – niczym zdjęcie wymarzonego kochanka. Przez ostatnie cztery lata widział wiele takich pokoi porzrzucanych po mieście niczym sceny przestępstw. Pokoi, w których zawsze znajdziesz album Niny Simon. Mimo że większość z nich odwiedził tylko raz, wiedział, że wszystkie były łudzaco podobne. Ohydne nocne lampki, smutne roślinki w doniczkach, zapach taniego proszku do prania, niedopasowane prześcieradła. Emma miała też iście artystyczną skłonność do fotomontażu – źle naświetlone zdjęcia znajomych i rodziny pozatykane pomiędzy reprodukcjami Chagalla, Vermeera, Kandinsky'ego i fotografii Che Guevary, Woody'ego Allena i Becketta. Nic nie było tu neutralne, wszystko wskazywało na jej przekonania, określało światopo-

gład. Cały pokój był jak manifest. Emma była jedną z tych dziewczyn, które używają słowa „burżuazja” jako obelgi. Mógł zrozumieć, dlaczego „faszysta” ma negatywne konotacje, ale lubił słowo „burżuazja” i wszystko, co się za nim kryje. Bezpieczeństwo, podróże, dobre jedzenie, dobre maniery, ambicja. Za co ma niby przepraszać?

Wypuścił z ust smugę dymu. Macając ręką podłogę pod łóżkiem, natrafił na książkę. *Nieznośna lekkość bytu*, strony wyraźnie zagięte na erotycznych kawałkach. Paradoks tych kreuujących się na indywidualizm dziewczyn polega na tym, że one wszystkie są dokładnie takie same. Kolejna książka: *Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem*. Kompletny idiota, pomyślał Dexter, pewny, że sam nigdy nie popełniłby takiego błędu.

Podobnie jak Emma Morley dwudziestotrzyletni Dexter Mayhew nie miał jasnej wizji przyszłości. Chciał odnieść sukces, żeby rodzice byli z niego dumni. Chciał sypiać z więcej niż jedną kobietą w tym samym czasie.

Ale jak to wszystko pogodzić? Pragnął być bohaterem artykułów opisujących jego życiowe dokonania, ale nie miał pojęcia, w jakiej dziedzinie. Chciał życia pełnego wrażeń, ale bez problemów i komplikacji.

To żaden plan, a i tak zdążył już popełnić błędy. Choćby dzisiejsza noc. Będzie miała nieprzyjemne reperkusje – łyzy, kłopotliwe telefony, pretensje. Jak najszybciej powinien się stąd ulotnić. Spojrzał na swoje porzucane ubrania, jakby planował ucieczkę. Z łazienki dobiegł go ostrzegawczy odgłos starej sfluczki, więc szybko odłożył książkę pod łóżko, natrafiając przy okazji na małą żółtą puszkę po musztardzie. Otworzył ją i zobaczył prezerwatywy oraz drobne, szare pozostałości skręta. Perspektywa seksu i jointa ukryta w małej żółtej puszcze polepszyła mu humor i zdecydował, że może jeszcze trochę zostanie.

W łazience Emma Morley wytarła z kącików ust pastę do zębów, zastanawiając się, czy ta noc nie jest jednym wielkim błę-

dem. Wreszcie po czterech latach romantycznej posuchy znalazła się w łóżku z kimś, kogo naprawdę lubi, kogo polubiła od dnia spotkania na imprezie w 1984, z kim za parę godzin się rozstanie, prawdopodobnie na zawsze. Przecież on nie zaprosi jej na wspólną podróż do Chin, zresztą ona i tak bojkotuje Chiny. Dexter Mayhew. Całkiem w porządku. Może nie jest superinteligentny i bywa zdecydowanie zbyt zadowolony z siebie, ale za to jest zabawny, lubiany i nie da się ukryć, bardzo przystojny. Dlaczego więc musi być taka zręczliwa i sarkastyczna? Dlaczego nie może być po prostu zabawna i pewna siebie, jak te odstawione, roześmiane panienki, które zwykle się koło niego kręcą? Przez małe okno zobaczyła, że zaczyna świtać. Otrzeźwiała. Przygładziła swoje okropne włosy, przybrała odpowiednią minę, pociągnęła za sznurek starej splotki i poszła do pokoju.

Leżąc na łóżku, Dexter obserwował, jak pojawia się w drzwiach, ubrana w togę i biret, które musieli wypożyczyć na wczorajszą ceremonię wręczenia dyplomów. Owinęła uwodzicielsko nogę wokół framugi, a w ręku trzymała zrolowany dyplom. Spojrzała znad okularów i przekrzywiła biret, tak że zakrył jej oko.

– No i jak? – rzuciła.

– Do twarzy ci. Szczególnie jak przekrzywisz biret. Ale zdejmij to już i wracaj do łóżka.

– O nie. Dałam za to trzy dychy. Zapłacone, trzeba nosić.

Zakręciła się, a jej toga zawirowała niczym peleryna wampira. Dexter złapał za róg materiału, ale odpędziła go zrolowanym dyplomem. Usiadła na łóżku, zdjęła okulary i pozwoliła todze ześlizgnąć się z ramion. Rzucił ostatnie spojrzenie na jej nagie plecy i zarys piersi, zanim zniknęły pod czarną koszulką z napisem wzywającym do rozbrojenia broni nuklearnej. Nic bardziej nie zabijało pożądania, niż długa czarna polityczna koszulka, no może z wyjątkiem płyty Tracy Chapman.

Zrezygnowany podniósł z podłogi dyplom Emmy, zdjął opasającą go elastyczną taśmę i przeczytał: „Filologia angielska i historia. Podwójny dyplom z wyróżnieniem”.